

**Wywiad z Zofią BRODZKĄ
przeprowadzony przez Annę Kurowicką
w Gliwicach, dn. 16 grudnia 2007 roku**

Nazywam się Anna Kurowicka, jestem ankieterką Fundacji KOS. Chcemy zebrać informacje na temat stanu wojennego i Pani doświadczeń związanych z tym okresem, bo są one dla nas cennym świadectwem historii politycznej i społecznej kraju. Zależy nam na wyczerpujących i szczerych odpowiedziach; proszę się nie ograniczać.

Czy mogłaby się Pani przedstawić?

Zofia BRODZKA.

Kiedy się Pani urodziła?

17 stycznia 1951.

A gdzie?

Lubraniec, to jest na Kujawach.

Z daleka Pani przyjechała.

Za nauką.

Na uniwersytet?

Najpierw skończyłam taką trzyletnią Wyższą Szkołę Nauczycielską w Bydgoszczy a potem jeszcze dwa lata studiów magisterskich na Uniwersytecie Śląskim. Dlatego tu mnie skierowano i miałam to szczęście przyjechać do Zagłębia i na Śląsk.

A w takim razie mogłaby Pani jeszcze dwa słowa powiedzieć o swojej rodzinie, skąd pochodzi?

Moja rodzina...pochodzi z Kujaw i ja się również wychowałam na Kujawach. Urodziłam się w małej miejscowości Lubraniec, tam skończyłam liceum, a potem studia w Bydgoszczy i Sosnowcu na Uniwersytecie Śląskim; miejscem zajęć był wtedy Sosnowiec, bo tam była wtedy filologia polska. Rodzice... cóż mogę powiedzieć o tym co wpłynęło na moje postępowanie i życie, to być może bardziej rodzina ojca niż mojej mamy, ponieważ ojciec czytał sporo książek, mimo że miał tylko wykształcenie podstawowe plus niecałe gimnazjum. Lubił słuchać radia Wolnej Europy, żeśmy razem słuchali. I pamiętam szczególnie, żeśmy słuchali, kiedy relacjonowano wydarzenia w Gdańsku w grudniu 70 roku. Jeśli chodzi o jakieś wpływy na zaangażowanie i zainteresowanie sprawami społecznymi.

Czy należała Pani już do jakichś organizacji społecznych albo opozycyjnych przed stanem wojennym?

Nie, nie. To znaczy przed stanem wojennym owszem, do związku Solidarność, który jak się okazało, był potem związkiem nielegalnym, ale do żadnych partii, do żadnych organizacji; moja rodzina również była niepartyjna, ani w jedną, ani w drugą stronę. Raczej z punktu widzenia moralnego angażowaliśmy się w jakiegokolwiek akcje, a nie z politycznego.

A czy była Pani w Solidarności od samego jej powstania?

Tak, od samego początku. Wtedy pracowałam w Śląskiej Akademii Medycznej, w bibliotece naukowej i jeśli tylko pojawiła się możliwość zapisu, to się od razu zapisałam.

A co Pani robiła w Solidarności?

Tak jak już mówiłam, nie byłam w żadnych strukturach organizacyjnych, nie pełniłam żadnej funkcji.

Skąd powstał pomysł żeby się tam zapisać?

Więc to było tak oczywiste... retoryczne pytanie. Uważałam, że tak trzeba, bo w ogóle z domu i z tradycji wyniosłam zamiłowanie do prawdy w życiu rodzinnym i społecznym.

A czy jak Pani się angażowała w Solidarność to myślała Pani o możliwych represjach, że coś może się stać?

Nie. Wtedy w ogóle nie myśleliśmy, że tak się sprawy potoczą i że przyjdą tak złe czasy. A potem przyszły wspaniałe czasy. Ale wtedy, po prostu wydawało się, że jeśli ktoś chce być po stronie, po której się walczy z reżimem, a nie ma innej możliwości, innej partii, innego ugrupowania, no wtedy dla mnie nie było innego sposobu. A więc w ten sposób – przynajmniej, uważam, że należało się w sprawy społeczne włączyć.

A czy znała Pani osobiście przypadki osób, którym się coś nieprzyjemnego z tego powodu stało?

Osobiście nie, nie, tylko z opowieści kolegów, koleżanek, wiem że spotykały ich prześladowania jakieś, zatrzymania, a tak osobiście żebym miała kogoś bliskiego, kogo by dotknęły te prześladowania, to nie.

A czy Pani rodzice i Pani bliscy wiedzieli o tym?

O przynależności do Solidarności owszem, to nie było wtedy tajemnicą, dopóki była Solidarność normalnie legalna, a potem, po internowaniu to nie wszyscy w rodzinie byli powiadomieni..

W takim razie możemy przejść do stanu wojennego. Gdzie Pani wtedy mieszkała?

Sosnowiec, ulica Ostrogorska 30, to była taka część hotelu asystenckiego przy akademikach wydziału farmacji Akademii Medycznej.

A jaki był Pani stan cywilny?

Panna.

Jaki Pani zawód wykonywała?

Wtedy w bibliotece, ale to był czas, kiedy przeszłam od pracy w bibliotece naukowej do Zakładu Medycyny Sądowej jako sekretarka. Pracę zmieniłam wiosną 81 roku. I wtedy mieszkałam nadal właśnie w hotelu asystenckim w Sosnowcu.

A czy mogłaby mi Pani opowiedzieć o samym wprowadzeniu stanu wojennego? Jak to wyglądało z Pani perspektywy? Jak się Pani o tym dowiedziała? Jak się Pani czuła?

Tak jak dla większości ludzi było to dla nas zaskoczeniem. Miałam pewne informacje od koleżanek, od koleżanki właściwie związanej z kręgami wojskowymi o jakichś przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego, ale to było kilka miesięcy, nawet kilkanaście, wcześniej. Natomiast wtedy, kiedy stan wojenny wprowadzono, to byliśmy zaskoczeni w tym środowisku. Usłyszałam budząc się rano z radia przemówienie gen Jaruzelskiego. Będę mówiła w kontekście moich wtedy doświadczeń i przyjaźni, z którymi byłam związana. Wobec dla nas mieszkańców tam, a szczególnie mojej współmieszkanicy nie był to moment pełen strachu, w którym by nas paraliżowało, był to raczej moment niedowierzania, dezorientacji, i jakiegoś takiego pospiesznego myślenia, co teraz będzie, jak nasze sprawy wyglądają, sprawy prywatne, rodzinne, no i oczywiście myślenie o bliskich kolegach, koleżankach, którzy działali w strukturach Solidarności i obawa, co z nimi będzie. A w dniach następnych oczywiście najbardziej był dokuczliwy i rzucał się w oczy absurd całej sytuacji, konieczność załatwiania np. zezwoleń na wyjazd do rodziny. Ja na przykład chciałam jechać do żyjącej jeszcze mamy, więc musiałam pisać podania o zgodę na wyjazd, z podaniem szłam do mojego szefa, w Katedrze Medycyny Sądowej, który napisał, że w całej rozciągłości popiera moja prośbę o wyjazd do chorej matki. Z tym się szło do Urzędu Miasta w Sosnowcu, gdzie byłam tymczasowo zameldowana, tam stało się w długiej kolejce... Nie wiem ile osób miało odmowę, a ile zgodę na wyjazd do najbliższych... No ja szczęśliwie akurat zgodę otrzymałam. To było szczęście.

W takim razie, co się potem z Panią działo ? Co się Pani przydarzyło?

Ponieważ nie byłam oficjalnym działaczem, nie byłam również związana z działaczami oficjalnymi jakimiś więzami bliższymi, więc mnie prześladowania - dopóki nie zostałam wezwana na policję - nie spotykały. Trudno powiedzieć, czy byłyśmy wtedy już obserwowane, czy jeszcze nie. W moim przypadku takim zdarzeniem, które zostało mi w pamięci i zostanie oczywiście do końca życia, to było spotkanie, to było spotkanie z zastrzelonymi górnikiemami z kopalni Wujek. Ponieważ ja dojeżdżałam do pracy z Sosnowca przez Katowice ulicą Wincentego Pola obok kopalni, tam widziałam tłumy, w pracy 16 grudnia słyszeliśmy strzały, przed wyjściem z pracy nie wiedzieliśmy, co się dzieje, bo nie było żadnych źródeł wiadomości w miejscu pracy. Pamiętam powrót do domu okrężnymi ulicami, ponieważ całe tłumy wojska były w okolicach kopalni, więc autobusy kierowano okrężną drogą no i na drugi dzień, jeśli ktoś... Znaczący, myśmy się już dowiedzieli z Wolnej Europy, co się stało. Nie pamiętam czy to był 17, czy 18, kiedy ośmiu zabitych górników po przechowaniu najpierw w prosektorium zamkniętym, nieznanym władzom, mój szef ze swoimi przyjaciółmi z kliniki polecili przechować te zwłoki. Natomiast nasi pracownicy przy pomocy innych osób - też zatrudnionych w Akademii Medycznej - przewozili te zwłoki do naszego prosektorium i myśmy tam pracownicy pierwsi kwiaty dali. I to było takie najbardziej drastyczne.

Wspominała Pani o aresztowaniu potem; jak do tego doszło?

Myśmy z koleżanką były aresztowane nie od razu, bo nie byłyśmy oficjalnymi działaczkami, tylko dopiero w kwietniu 82 roku. Ja mam tutaj wszystkie dokumenty, gdyby pani chciała zobaczyć, daty, wezwania. Wtedy wezwano a nie wiem czy o jakichś podejrzanym przyczynach tego aresztowania też mówić?

Oczywiście.

No wiec, ponieważ ja nie przeglądałam swojej teczki, nie wiem czy w ogóle mam teczkę personalną w IPN-ie, to tak naprawdę nie wiem, kto donosił, kiedy donosił i dlaczego donosił, i skąd zainteresowanie esbecji moją koleżanką, która miała dużo większe zasługi dla Solidarności niż ja, no i oczywiście potem... Jedno, co stwierdziłyśmy to taki fakt, że kiedy paliłyśmy świece zawsze 13 grudnia, tak jak wzywała podziemna Solidarność, zgasiłyśmy światło, zapaliłyśmy świece, ileś tam czasu te świece się paliły, i w momencie, kiedy miałyśmy już zapalić światło koleżanka moja wyjrzała przez okno i powiedziała, że jakiś samochód stał pod naszymi oknami, miał zgaszone światła, i teraz właśnie odjeżdża. Ja oczywiście wyśmiałam jej uwagi i stwierdziłam że to już są jej paranoiczne podejrzania, bo uznałam że to zbieg okoliczności. Niemniej coś chyba wtedy było na rzeczy. Poza tym z tego co wiedziałyśmy, to kierownikiem tego domu studenckiego, do którego należał ten hotel studencki był pracownik Służby Bezpieczeństwa; właśnie jego żona była kierownikiem tych budynków, no ale tam mieszkaliśmy dwa lata wtedy. Być może właśnie z tego powodu, trudno mi powiedzieć, byłam obserwowana w tym właśnie środowisku, nie w miejscu pracy, tak jak przypuszczałam, że być może to wezwanie na policję a potem internowanie związane z moją pracą w Zakładzie Medycyny Sądowej po tych wydarzeniach na Wujku, to nie, o to mnie zresztą nie pytano później, tylko zostałam właśnie... Koleżanka, z którą mieszkalam i która była głównym odbiorcą literatury, otrzymała wezwanie na policję, poszła i minął tydzień, ona nie wraca. I być może was młodszych interesuje, dlaczego myśmy szli otrzymując wezwanie, że można było nie iść. Ale to wtedy wyglądało tak, że, jeżeli się nie poszło na wezwanie, w każdej chwili można było być zwiniełym z ulicy, tak jak się stało. I wtedy to było mniej przyjemne, bo nie posiadało się nawet szczoteczki. No wiec ona nie wróciła i myśmy już poprzez różne kontakty i źródła się dowiedziały, że jest zatrzymana i jest w Katowicach w Komendzie Wojewódzkiej Policji. I gdzieś mniej więcej po tygodniu ja otrzymuje wezwanie. Domyśliłam się że w związku z tym że ona prawdopodobnie, to znaczy byłam pewna na sto procent, że ona nie powiedziała nic o swojej działalności i być może chcą się dowiedzieć ode mnie coś. No i znów oczywiście zastanawianie się, wahanie, czy pójść czy nie pójść, bo jeśli pójdę to ryzyko, że już tam zostanę, a jeśli nie pójdę to takie ryzyko, jak mówiłam przed chwilą. No wiec poszłam, no i nie wiem czy mówić o przesłuchaniu....

To był kwiecień, dwudziesty chyba piąty mniej więcej, ale wtedy było bardzo zimno, taki był zimny kwiecień. Na szczęście zabrałam potrzebne rzeczy, po raz pierwszy w życiu wzięłam małą tabletkę relanium, żeby być w miarę spokojna, i być może to nawet pomogło, sama świadomość że się zabezpieczyłam. I pojechałam do Katowic do tego wysokiego budynku, który do dziś stoi. Od razu przy portierni odebrał mnie jakiś pracownik, pojechałam na któreś piętro, i tam było przesłuchanie właśnie na temat, czy ja działałam, co ja robiłam w Solidarności i co moja koleżanka robiła, kto do niej przychodził, no właśnie pytania wokół działalności w Solidarności głównie. Przesłuchanie trwało około 6 godzin, ale to nie było przesłuchanie takie, jakiego się np. można było obawiać w moim przypadku, ani przesłuchanie jakie pokazuje się nie raz jakieś okrutne. To były elementy takiej rozmowy, esbek, młody zresztą, młodszy wtedy ode mnie, w miarę można było wyczuć wykształcony człowiek, jakimiś takimi podpuszczającymi pytaniami starał się wydobyć ode mnie, no a ponieważ ja się nie spotykałam, nie miałam właściwie nic do powiedzenia. A kiedy mnie pytano o to, co koleżanka robi, kto do niej przychodził, opowiadałam, ile to swetrów na drutach robi, jak pięknie robię, no i kto przychodzi, wszyscy najbliżsi, sąsiedzi, pół akademika. Wiec pan tylko kręcił głową, ale najgorsze było to, że w międzyczasie wpadał kilka razy taki... ich było dwóch. Wpadał ten drugi pan od metod takich, drastycznych. Mówił bardzo brzydkie wyrazy pod moim adresem, groził i powiedział tak: jak ona nic tu ci nie powie, to ja tu zaraz przyjdę. Wiec to było takie, próba zastraszenia. Myśmy były

uświadomione, mówię o tej mojej koleżance, która wcześniej została zatrzymana, o mnie, no i w ogóle w tym środowisku znalazło się jakieś zasady, że nie należy nic mówić i nie należy podpisywać żadnych oświadczeń, zeznań, że są takie sposoby właśnie, że metoda łagodna przeplatana z metoda ostrą. Bałam się bardzo żeby mnie nie bito, nie uderzono, ale tego nie było. Powiem nawet w moim przypadku coś takiego, nie mówię tego na usprawiedliwienie tego pana esbeka, tylko tak było po prostu, że widziałam, że ten człowiek też chce dniówkę odrobić i jakoś przewlec to przesłuchanie. Jak w międzyczasie pytałam czy mogę wyjść do toalety zezwolono mi i poszłam, i to tak w sumie około 6 godzin się ciągnęło. Kiedy wpadał ten ostry mówił: proszę powiedzieć, co robiła pani Porzycka, bo ona już właściwie wszystko powiedziała, tylko jeszcze parę rzeczy chcemy się dowiedzieć. I tak to trwało. A na końcu na szczęście ten tak zwany okrutny nie przejął mnie, tylko przyszedł, wypisano mi już chyba decyzje o internowaniu, a może jeszcze nie, w każdym razie ten tak zwany okrutny wszedł i powiedział że pani Porzycka też nic nie chciała mówić i teraz w Darłótku muszelki zbiera. A właśnie w Darłótku był obóz odosobnienia. I wtedy pomyślałam, że nawet nieźle tam, bo ciekawi ludzie, aktorki, więc jeżeli mnie tam prześlą, jest koleżanka, jakoś przeżyjemy. No i to przesłuchanie się skończyło i to była taka część wstępna, nie zapowiadająca tego, co potem przykrego nastąpiło. To znaczy zaprowadzono mnie w dół do depozytorni, sprowadzono po schodach, więc cały ten nastrój więzienny, dzwonili kluczami o poręczce, że prowadzi się więźnia, no i kiedy odebrano mi wszystkie rzeczy z najmniejszymi drobiazgami, spinki do włosów, zegarek, kalendarzyk, i tak jak stałam weszłam do tak zwanej „pojedynki”, pojedynczej celi, to mnie strach obleciał, ponieważ to było bardzo małe pomieszczenie, brudne, gdzie tylko sedes, jakiś rozwalony stół, rozwalone krzesło, już oczyma wyobraźni na ścianie dopatrywałam się krwawych śladów, które zresztą nie wiem, czy były czy nie. W każdym razie to była najgorsza godzina w moim życiu, kiedy tam przesiedziałam, w tej izolatce, bo nie wiedziałam, co dalej; po prostu spodziewałam się, że dalej będę już w pojedynkę przesłuchiwana i być może bita. Ale na szczęście to nie nastąpiło i po godzinie mnie stamtąd wyprowadzono do normalnej celi więziennej, gdzie były więźniarki wszystkie tzw. kryminalne, jakaś tam za kradzież kurczaków, inna za tzw. oszustwa, bo tępiono prywaciarzy prowadzących sklepy warzywne, więc jakaś pani starsza, która miała warzywniak, i ktoś tam jakiś warsztat samochodowy to mąż siedział gdzie indziej a jego żona właśnie w tej celi, były tam jakieś cztery osoby może. Ja już wtedy w kwietniu to miałam luksusowe warunki w porównaniu z warunkami, nie wiem czy państwo słyszeliście od osób, które były zamknięte tam na ulicy Lompy w celach 3, 4 osobowych po kilkadziesiąt osób po 13 grudnia tak było, bo mi koleżanki opowiadały. A tam ja byłam chyba piątą osobą, weszłam i mnie przywitała jedna z tzw. kryminalnych, mówi: pewnie z Solidarności. Ja pokiwałam z rezygnacją głową a ta więźniarka mówi, no i znowu nam nic nie będzie wolno jak będziemy mieli w celi z Solidarności kogoś. Tak mnie przywitała, ale w sumie panie były współwięźniarki miłe, i śpiewały różne więzienne przeboje, trochę mi to humor poprawiło. Oczywiście tak jak wszędzie jedzenie bardzo podle, razowy chleb, jakieś tam namiastki zupy. No i ciągle nie wiedziałam, co dalej. Byłam tylko dwie doby tam wprawdzie w porównaniu z koleżankami, które były miesiące niemalże. No więc tam myślałam, kiedy przyjdzie ten moment, kiedy zostanę wezwana na przesłuchanie, więc noce miałam z głowy. I po dobach drzwi się otworzyły i mnie wywołano żeby zabrać wszystkie rzeczy, które tam mam; na to współwięźniarki powiedziały: o to znaczy że panią w ogóle wyprowadzają stąd - i po otrzymaniu z depozytu wszystkich rzeczy, uczciwie, muszę powiedzieć, wprowadzono mnie do tzw. suki, czyli tej więziennej furgonetki, gdzie tam wieziono do innych więzień i być może też na przesłuchania, i kobiety i mężczyźni, byliśmy się zdaje się przedzieleni takim przepierzeniem, i oczywiście ani słowem mnie nie poinformowano, dokąd mnie wieziono. Dopiero na

miejscu w Bytomiu otrzymałam nakaz internowania, decyzje o internowaniu, co było i tak dużą łaską, ponieważ nie każda osoba otrzymywała decyzję o internowaniu – po prostu do paki i koniec, bez żadnych papierków. Pamiętam, jak mnie wieziono, to myślałam że do tego Darłówka jestem wieziona. Ale niestety po rozwiezieniu pozostałych więźniów mnie przywieziono po jakiejś może godzinie jeżdżenia, kluczenia, do - jak się potem okazało - do Ośrodka Odosobnienia w Bytomiu Miechowicach, który tam funkcjonował od 6 czy 8 kwietnia. To był 27 chyba kwietnia, może dzień później, dokładnie nie pamiętam. Wiec, ponieważ ja na dodatek do tego uwiezienia i internowania wzięłam „Proces” Franza Kafki, byłam ciągle w poczuciu czegoś tak irracjonalnego, nierealnego, że kiedy wysiadłam z tej suki i funkcjonariusze mnie prowadzili, wiedziałam że na pewno nie Darłówka, myślałam, że jakieś nowe pomieszczenia więzienne, nie wiedziałam gdzie idę i co będzie dalej. Ale kiedy tam mnie wprowadzono zobaczyłam grupkę kobiet na korytarzu i to była taka scena też zupełnie nierealna, bo kobiety stały, nic nie mówiły, ja patrzyłam na nie, one patrzyły na mnie, i w tym tłumie właśnie zobaczyłam tą moją koleżankę z Sosnowca, z którą mieszkaliśmy. Ucieszyłam się wtedy i ponieważ nie wiedziałam, co to jest, czy mogę mówić, i tylko tyle jej zdążyłam powiedzieć: „Jaga, ja nic nie powiedziałam”, żeby wiedziała, na czym stoi. No i potem mnie wprowadzono do części administracyjnej, jakiś tam przydział miejsca, spisywanie danych personalnych, to było mniej ciekawe, nie pamiętam już czy w jakim pokoju, w każdym razie już potem ten stres troszeczkę mijał, ponieważ już byłam między swoimi. Warunki były, trudno mi określić w porównaniu z innymi ośrodkami. To był Ośrodek Szkolenia Kadr na ul Rokitnickiej w Bytomiu Miechowicach. Tam też było dosyć ciasno, ale każda miała swoje łóżko normalne, jakąś szafkę, były prysznic, kuchnia była, jedzenie było nieco lepsze już, i myśmy wtedy otrzymywały bardzo dużo pomocy z zewnątrz, przywożonej przez księdza. Poza tym miałyśmy tam paczki od najbliższych. Oczywiście paczki były dokładnie rewidowane, przeglądane, proszek wysypywany nieraz, jeśli był. Dużo zawdzięczam moim koleżankom, które potrafiły zorganizować pierwszą torbę z ubraniami potrzebnymi. Wiem że jedna z moich koleżanek najpierw pojechała do wiezienia na Lompy, ale na szczęście się dowiedziała że jestem w Miechowicach. Na początku pobytu w obozie internowania, kiedy jeszcze było nas może około 20, taką bardzo uderzającą nieprzyjemną rzeczą był stosunek osób i psów pilnujących do ilości więźniarek. Bo tam był oddział ZOMO, strażnicy wiezieni, klawiszki, całe dowództwo SB i więzienne, psycholog więzienna, to gdzieś wypadało 3-4 osoby pilnujące na jedną wiezioną. Dopiero potem jak przywieziono nas więcej a zredukowano osoby pilnujące, to trochę reżim zelżał. Ale z tego co wiem, w porównaniu z innymi obozami, bo mało się w ogóle mówi o tym obozie w Miechowicach. W Darłówku, w Gołdapi, tam kobiety miały więcej swobody, a my byłyśmy strasznie pilnowane. Rewizje były codziennie, tak zwane kipsisze, a ponieważ byłyśmy w grupie wiec nas to nie przerażało, żeśmy już opanowały trochę metody konspiracyjne, przekazywania notatek czy chowania w takich miejscach, do których klawiszki nie dotarły, starałyśmy się z humorem to znosić, do tego stopnia że potrafiłyśmy jakieś notatki podkładać udające listy, w których były jakieś bzdury napisane tylko po to, żeby wykazać absurd tej całej sytuacji. Oczywiście śpiewałyśmy pieśni i stare, jeszcze z czasów Piłsudskiego, patriotyczne, i dowcipne, niezbyt mądre, ale potrzebne do odreagowania. Myśmy to właśnie traktowały z poczuciem humoru, natomiast okazało się potem, że pewnego dnia mierzono odległość od bramy ogrodzeniowej tego terenu, na którym znajdował się ośrodek, do budynku. Nie wiedziałyśmy, dlaczego; okazało się, że prokuratura będzie wszczynająca proces przeciwko osobom najaktywniej śpiewającym o sianie niepokoju, o jakieś demonstracje publiczne, bo skoro tam była jakaś ścieżka, chodnik... Chciano udowodnić, że to było całkowicie słyszalne to co śpiewałyśmy, no i był przygotowany proces. Ale do lipca, kiedy żeśmy wyszły w lipcu na mocy amnestii tego procesu na szczęście nie było.

Słuchałyśmy tu oczywiście radia, jak najmniejszych rozmiarów [trzymanego] w jak największej paczce po proszku do prania. Korespondencja też wychodziła - to były takie zwinięte maksymalnie karteczki papieru z informacjami dla najbliższych - były przekazywane w ten sposób (z tego, co ja wiem, bo oczywiście nie wszyscy o wszystkim wiedzieli): najpierw przez pielęgniarkę, potem przez kontakt z lekarzem; pan Andrzej Świętochowski, on przekazywał z kolei dalej komu trzeba te informacje i w ten sposób się najbliżsi, rodzina, koleżanki i koledzy z pracy, przełożeni dowiadywali. Właściwie 90 % ludzi w takiej instytucji jak ja pracowałam, solidaryzowało się z tymi represjonowanymi,. A u mnie w zakładzie bardzo duża ilość osób była nam życzliwa i starano się nam pomóc, do tego stopnia, że taka pani profesor Sybirska (przed profesurą, co jej mogło zaszkodzić) z kolegą Wędrychowskim, lekarzem i moją koleżanką mnie odwiedzili i domagali się widzenia ze mną. Bo żeby widzieć kogoś z rodziny lub przyjaciół należało złożyć podanie: zanosilo się podanie do komendanta, on się zgadzał lub nie, no i ja mam nawet tutaj to podanie napisane odręcznie, więc oni ryzykując swoją w pewnym sensie karierą zawodową przyszli do mnie żeby mnie odwiedzić i pocieszyć, a w podaniu napisali że sprawy służbowe, które ja prowadziłam wymagają kontaktu. Ale niestety ta wizyta wyglądała w ten sposób, że przy małym stoliku krzeselka, na jednym wtedy pan komendant siedział a my, wizytująca osoba jedna, bo więcej nie można było wejść, i ja rozmawiałyśmy. No jak rozmawiać, o czym rozmawiać. Tak wyglądała wizyta. Cóż jeszcze...

Rodzina... Ja braci miałam, na Wybrzeżu [a na] Kujawach mama mieszkająca, starsza, schorowana. Mamy nie powiadomiłam bardzo długo, mama chyba nie wiedziała do końca, po prostu nie chciałam martwić. Bracia wiedzieli, ale prosiłam żeby nie przyjeżdżali, nie odwiedzali mnie, bo mam na tyle przyjaciół, którzy w razie potrzeby mi pomogą.

Potem na mocy tej amnestii Pani wyszła. Co się dalej działo? Jak wyglądała Pani sytuacja zawodowa?

Ja mogłam wrócić do pracy, mnie nie spotkały tego typu represje, dlatego że ja miałam bardzo walecznego szefa, profesora Nasiłowskiego, który nie bał się nikogo i niczego wtedy, bo przecież, sam fakt jak walczył o przeprowadzenie sekcji górników i jak dbał o udokumentowanie tego, wskazuje na to, że broniłby każdego, kto byłby zagrożony jakimś zwolnieniem. Ale ponieważ ja nie byłam w ogóle nagabywana ani w czasie przesłuchania, ani w czasie pobytu w Miechowicach, kiedy wzywano na tzw. rozmowę a szło się, bo nie było wiadomo czy chcą coś dać, przekazać jakiś list z domu, czy po prostu rozmawiać, to mnie raczej nie pytano o sprawy związane z zakładem medycyny sądowej i górnikiem, tylko ciągle wokół środowiska, w jakim mieszkałam i o te literaturę. Więc do pracy normalnie wróciłam i pracowałam, byłam wzywana do stawienia się na komendzie w Sosnowcu, chyba dwa razy miałam takie wezwanie. To właściwie nie było już przesłuchanie tylko grożenie, żeby nie prowadzić dalej żadnej działalności bo to się źle skończy. Był też strach, czy się wyjdzie z takiego przesłuchania, czy się zostanie zamkniętym, bo koleżanki moje wielokrotnie były zatrzymywane i zamykane na 48 godzin. Ja na szczęście byłam tylko ostrzegana.

Czy potem odczuwała Pani jakieś inne skutki długoterminowe, czy były jakieś reperkusje? Jak potem wyglądała dalsza Pani kariera? Nie było problemów?

Ja nie byłam pracownikiem naukowym i nie odczuwałam zawodowych reperkusji mojego udziału w rozprowadzaniu literatury. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, to nic się nie zmieniło.

A u Pani bliskich? Jak to u innych wyglądało?

Trudno mi powiedzieć, bo w tym zakładzie, gdzie ja pracowałam, część ludzi wyjechała za granicę więc to ich należałoby spytać czy im to złamało karierę zawodową... Nie wiem, czy ta pani docent wtedy Sybirska, być może miała jakieś opóźnienie w nadaniu tytułu profesora, ale to jest nie do sprawdzenia w tej chwili.

Z perspektywy czasu, czy stan wojenny miał dla Pani osobiście jakieś pozytywne skutki?

Sam stan wojenny był według mnie złem i to nie był złem mniejszym, ale większym. Dlatego że prześladowania, jakie dotknęły nie mnie, ale innych osób i te osoby, które zginęły od działań policji i te, które zmarły, bo nie działały szpitale, nie było łączności telefonicznej. Np. mamy taką bliską znajomą, jej bliski przyjaciel miał wtedy zawał czy coś takiego, nie działały telefony przez ileś dób i zmarł. Kto miał umrzeć to umarł bez pomocy. To należy doliczyć jeszcze do tych politycznych, policyjnych ofiar stanu wojennego. Raczej sama działalność Solidarności, samo rozprowadzanie literatury, przekazywanie ulotek, kontakty z ludźmi, to było coś niezwykle budującego wtedy i wartościowego. Coś, co się nigdy nie powtórzyło i nie powtórzy na pewno. Ale potwierdza się to mityczne pojęcia solidarności polskiej w czasach kryzysowych, ale to się wtedy potwierdziło. Ludzie byli niezwykli, mieli odwagę. Nie każdy, niektórzy zostali złamani, i tych chyba teraz nie należy jednoznacznie osądzać ze np. podpisali jakąś lojalkę czy dokument, bo to były straszne czasy i straszenie konsekwencjami, w niektórych przypadkach realizowanie tego straszenia - więc nie należy też tak osądzać tych ludzi jednoznacznie. Jaka wartość tego typu sytuacja, no to - jeżeli ma jakąkolwiek - to w sensie jakimś abstrakcyjnym, artystycznym może bardziej, dlatego, że to co się oglądało w sztukach na temat terroru, w sztukach Mrożka czy twórczości Kafki, po prostu człowiek tego doświadczył nagle w tej sytuacji. I to jest takie przeżycie w sumie wzbogacające człowieka, ale broń Boże żeby się miały powtórzyć takie sytuacje.

A jak Pani ocenia PRL? Czy miał jakieś dobre strony?

Ja nie jestem historykiem, nie zajmuję się sprawami społecznymi i ja od wielu lat coraz mniej zajmuję się i interesuje [mnie] polityka niestety, niestety może i właśnie, stety, bo wole się interesować literaturą czy filmem, czy w ogóle życiem.

No więc ja jako laik myślę, że taką pewną wartością, której nie da się zaprzeczyć była dostępność szkolnictwa. Wprawdzie była wszędzie urawniłowka, ale każdy, kto chciał mógł pracować i zdobyć wykształcenie, i bezpłatna opieka medyczna, bezpłatne szkolnictwo. Ale w sferze psychologicznej, w sferze historycznej, to był ponury okres zupełnego ubezwłasnowolnienia jednostek, podporządkowania władzy, i po prostu pozbawiania wręcz, oczywiście, kto miał silną osobowość to miał swoją osobowość, ale jeśli ktoś chciał coś osiągnąć w pracy i mieć własne mieszkanie i meble, to ten ktoś już był skazany na służalczość, na konformizm.

I oczywiście represje, które się spotykały w 68, 71, należy oceniać jako zbrodnie po prostu. Także bardzo, bardzo negatywnie oceniać to, za wyjątkiem tych pewnych plusów, o których powiedziałam. Przede wszystkim nie mieliśmy własnej suwerenności. Byliśmy przecież republiką Związku Radzieckiego, z czym do tej pory trudno się temu państwu pogodzić, że to straciło.

A Polska po 89 roku - jakie Pani ma refleksje?

Same wybory 89 to był chyba początek euforii, w którym ja uczestniczyłam, bo byłam wtedy w komisji wyborczej i żeśmy przez najbliższe dni po wyborach świętowali to zwycięstwo. Chyba po prostu strasznie trudno naszemu krajowi było przejść tę drogę od socjalizmu do kapitalizmu, obecnie być może też trochę niehumanitarnego, ale taka

kolej rzeczy. Niestety mentalność ludzi bardzo powoli się zmienia i być może to jest troszeczkę marksistowskie myślenie, że być może właśnie dobrobyt i jakieś gospodarcze osiągnięcia otwierają ludziom oczy na to, że można być wolnym i można samemu pracować, być niezależnym i można w wolnym kraju dla siebie tworzyć historię i dla swojej rodziny.

Jeśli można, chciałam zapytać o Pani obecną sytuację życiową. Czy mieszka Pani sama czy z rodziną?

Oprócz męża nie posiadam rodziny, tzn. mam rodzinę mieszkającą gdzie indziej, ale dzieci nie mamy. Wie pani, w porównaniu z czasami PRL, kiedy miało się jakieś zlotówki zaoszczędzone, które traciły wartość z powodu inflacji, no to mogę powiedzieć, że teraz mój poziom życia jest nieporównywalnie wyższy i lepszy.

A czy ubiegała się Pani kiedykolwiek o odszkodowanie?

Nie, nie, nie. Nigdy o żadne odszkodowanie. Bo ja myślę, że nie poniosłam żadnej szkody praktycznej, a te szkody moralne, jakie poniosłam to spotkało też setki, tysiące ludzi i to jest nieodłączna część kosztów przejścia z tamtej formacji do tej, jaką mamy i to po prostu uważam, że chyba nie potrzeba, jeśli się miało pensję cały czas i w pracy nie było jakichś represji, nie należy się ubiegać, ja wiem, no... Jestem natomiast jak najbardziej za tym żeby karać i wyciągnąć konsekwencje wobec osób, które były prześladowcami, nie dochodzić, kto współpracował nie wiedząc o motywach i czy to rzeczywiście była współpraca ze Służbami Bezpieczeństwa, podczas gdy te Służby Bezpieczeństwa są bezkarne, zupełnie i mają wysokie emerytury, i to jest olbrzymia niesprawiedliwość, której do tej pory żaden z naszych rządów nie umiał rozwiązać. To jest najbardziej przykre, że oprawcy są bezkarni a ofiary pozostają ofiarami.

Dziękuję bardzo. Zaraz jeśli Pani pozwoli to sfilmujemy pamiątki, które Pani ma.

[Drobne korekty autorskie z lutego 2011]